

JEDNO ROŻEC



**BAKUŁA BREJNAK DARIUSZ K. DOBIAŁA HELENA JADCZAK JAŁOZA
JARZĄB KRĘŻOLEK MARCZAK MARIAN D. SIARKIEWICZ
SZEPE TRISTEREVA WAMZEH WINDSONG WRÓBEL**

Nr 1(1)/2015, styczeń

Redaktorzy naczelni/Content Management:

Marta Marciniak, Michał Stefaniak

Autorzy:

Julian Bakuła, Sebastian Brejnak, Dariusz K., Paulina Dobija, Helena, Michalina Jadczyk, Iwona Jarząb, Katarzyna Krężołek, Natalia Marczak, Marian D., Ewa Siarkiewicz, Agata Szepe, Arnelia Tristereva, Wamzeh, Peter Windsong, Dorota Anna Wróbel, Kaja Jałozza

Fotograf redakcji:

Sebastian Czarnecki

Korekta:

Agata Nowak, Ilona Siwak

Skład i łamanie:

Joanna Prajzendanc

Logo:

Dariusz K.

Okładka:

Afisz teatru Cavalia

Opracowanie okładki:

Joanna Prajzendanc

Wydawca:

Marta Marciniak, Michał Stefaniak

Czasopismo finansowane jest ze środków
Zarządu Samorządu Studentów UW.
Wszelkie prawa zastrzeżone.

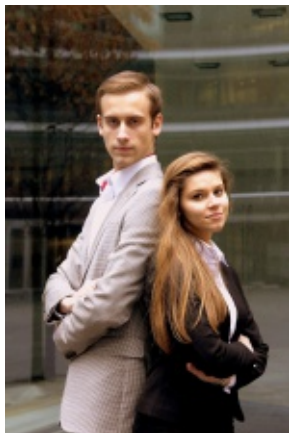
Kontakt: jednrozec.redakcja@gmail.com
www.facebook.com/czasopismojednrozec

Współpracujemy z:



DRODZY ARTYŚCI I CZYTELNICY,

z nieskrywaną dumą przedstawiamy Wam czasopismo artystyczne „Jednorożec”! Jest to wyjątkowa inicjatywa umożliwiająca młodym i utalentowanym twórcom zaistnienie w polskim środowisku artystycznym. „Jednorożca” tworzymy z myślą o sztuce różnorodnej i niekoniecznie popularnej. Chcemy, by dzięki nam artystyczna pepiniery mogła dzielić się owocami swojej kreatywności i poczuć swobodnie podczas wymiany myśli z innymi twórcami, ale również z odbiorcami sztuki.



W premierowym wydaniu możecie znaleźć prace graficzne, poezję, fragmenty prozy i fotografie. Przewodnik po tej barwnej gamie widzicie już na następnej stronie.

Zapraszamy do lektury!

Marta
Marciniak

Michał
Szafraniec

Niezmiernie istotne jest dla nas propagowanie idei reprezentowanej przez „Jednorożca”, zatem pragniemy zaprosić do współpracy artystów oraz instytucje związane z kulturą. Prosimy o kontakt na adres podany w stopce redakcyjnej.



JEDNOROŻEC



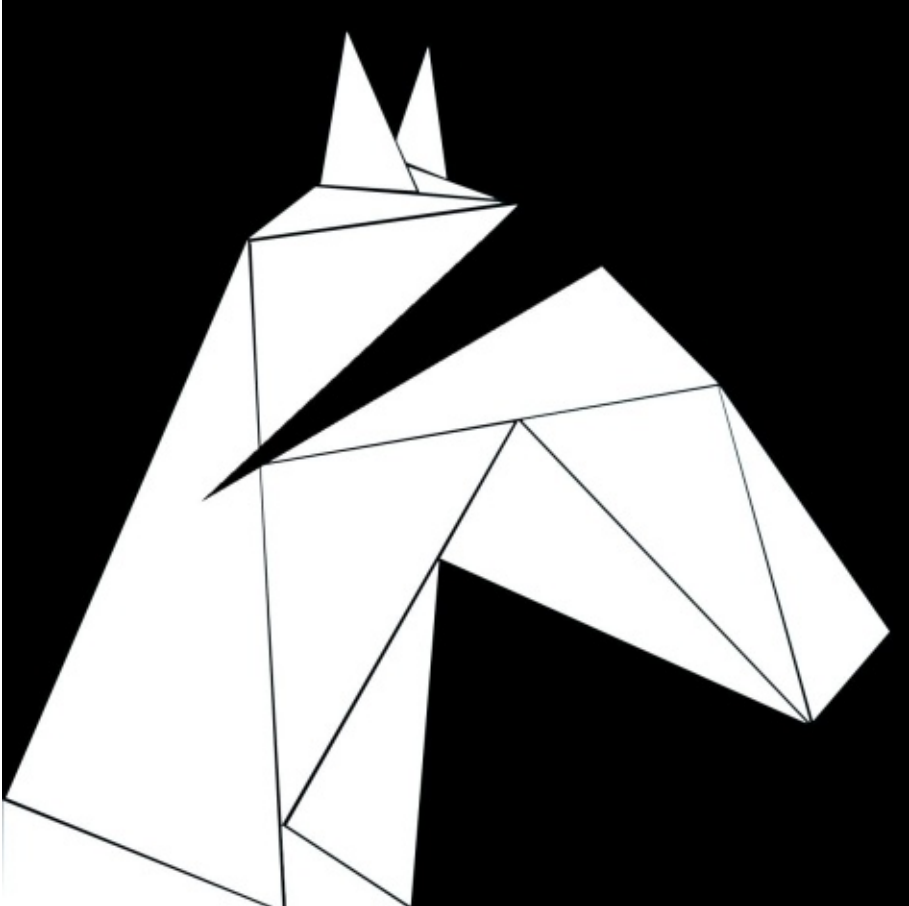
OBRAZY

- 6 Dariusz K., *Nowe spojrzenie*
- 10 Ewa Siarkiewicz, *Pod Skórą*
- 58 Agata Szepe, *Wycinanka żydowska*
- 63 Kaja Jałozza, *Odcienie*
- 67 Peter Windsong, *Kontrasty*
- 74 Marczak, *Od mroku do mroku*



SŁOWA

- 14 Arnelia Tristereva, wiersze
- 18 Sebastian Brejnak, wiersze
- 21 Delmore Schwartz, autorskie tłumaczenie Juliana Bakuły
- 25 Michalina Jadczak, wiersze
- 27 Helena, wiersze
- 29 Wamzeh, wiersze
- 31 Wamzeh, *Niebieskie bombki, srebrne tancuchy*
- 34 I. Jarzab, *Dziesięć minut po północy*
- 39 Dorota Anna Wróbel, *Mo(t)herland*
- 45 Marian D., *Wieczorny klub zaścienny*
- 52 Katarzyna Krężolek, *Kto podpadł Przybosiowi?*
- 56 Paulina Dobija, *Byłoniebyło*
- 78 Informacje od Zarządu Samorządu Studentów UW



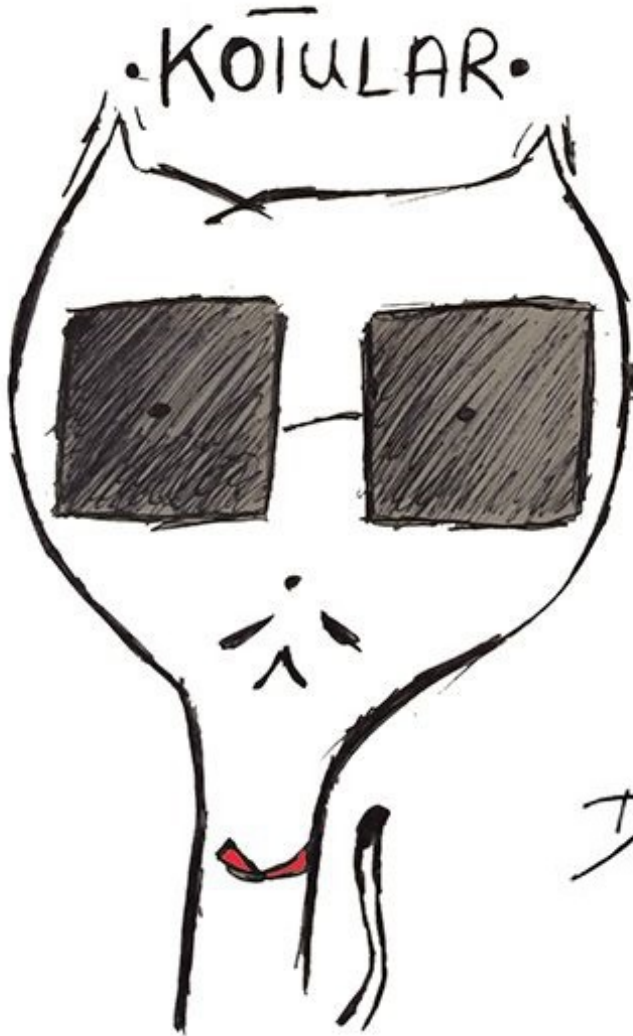
DARIUSZ K.
NOWE SPOJRZENIE





Dariusz K.

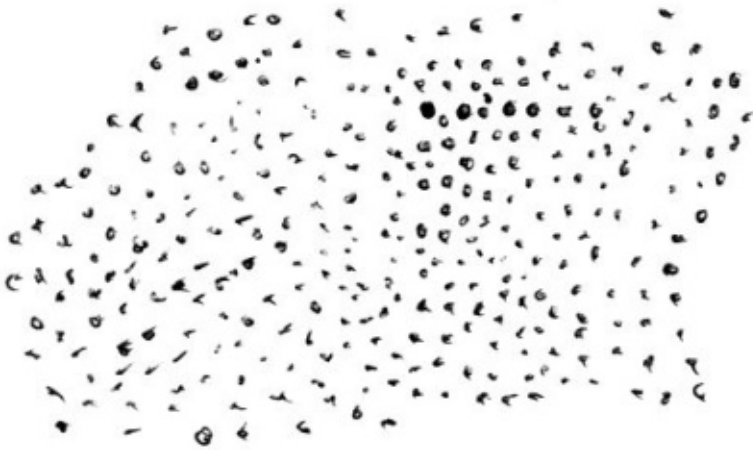
• MUCHA-CHA. •



• NOGI NIEZPECYDOWANEJ
ŻYRAFY.



Dariusz K.

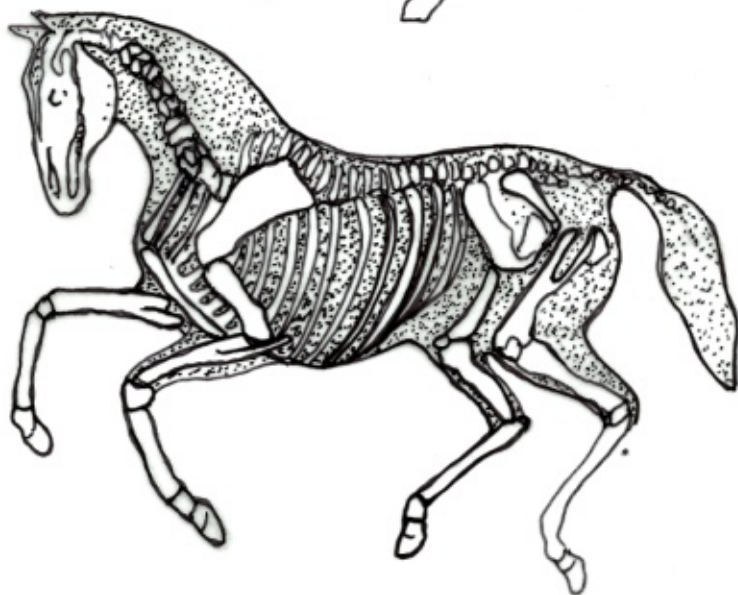
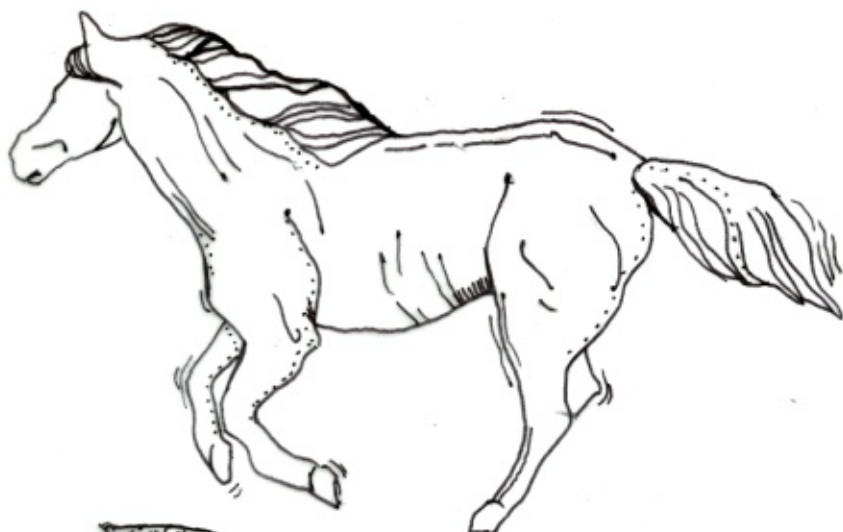


• KUSKUS KLAN.

EWA SIARKIEWICZ

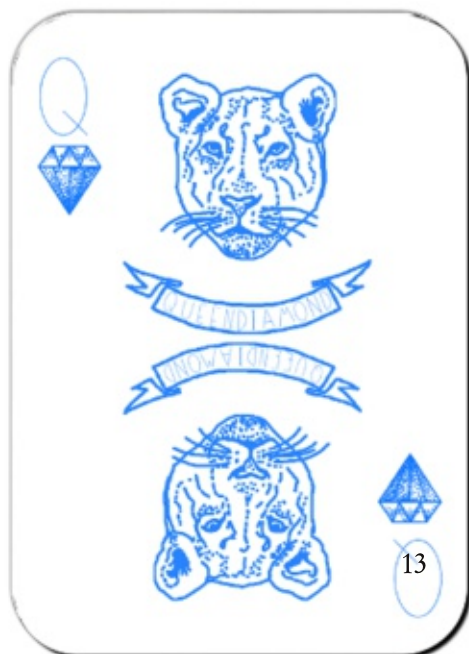
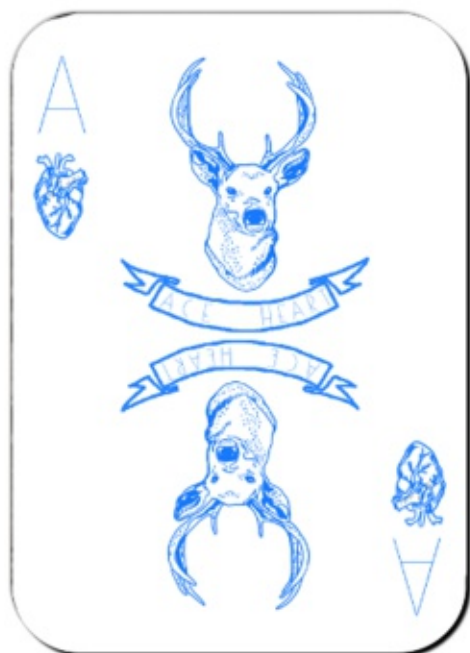
POD SKÓRĄ

(PROJEKTY TATUAŻY I KART)









ARNELIA TRISTEREVA

GRZECH

Przedwiośnie ukwitłe z pożegnań miłości
Iskrami pieściło półnagie dłonie
Rozłożyłam skrzydła zdrętwiałe
Lecz nie mogąc wzlecieć, zapłakałam
Gorzkimi łzami przemywając grzeszne policzki.
Zbyt błękitne niebem rozmarzone oczy
Tkwiły pośród ciemności powiek w przepaści
Chwyciłam dłoń lśniąca nad skronią
I mając nadzieję, że uniesie me ciało
Spadałam coraz głębiej.

BALLADA O BÓLU

Miłość marna pochodzi z tego świata
Nikt nie powiedział jej dlaczego
Co po znakach, kiedy nikt ich nie widzi
Niewinnej zbrodni, której była świadkiem
Od dawna zadawała sobie pytanie
Dlaczego ojciec pozwolił jej umrzeć?
Pytała pana w błękicie
Dlaczego tak trudno powiedzieć jej prawdę?
Kto mógł przeżyć, a kto zginął



Entliczek-pentliczek każdy na celowniku
On widzi, że nigdy się nie myli
Ale przecież mój tatuś nie miał broni!
W lśniącym lustrze odbija się wina
Z dystansem czasu jest już legendą
Życie jest brutalne, przekonał ją o tym dosadnie
Zbyt młoda, by mogła zrozumieć...
Stał się legendą, koszmarem sennym
Dlaczego matka pozwoliła jej umrzeć?!Ona widziała wszystko, stojąc na schodach
I nigdy nie nazwała tego złem!
Teraz już nie ma sensu tego rozpamiętywać
Kto to zrobił, a kto umarł
Choć mamusia mogła coś poradzić
Spróbować choćby zrozumieć dziecko
W innym świecie, w innym czasie
Może ludzie by tak bezczelnie nie kłamali
Może ktokolwiek usłyszałby jej głos
Podjąłby zupełnie inny wybór
Chwilę po tym wszystko staje się jasne
Kto powinien żyć, a kto umrzeć
Nic już po tym, kto trzymał broń
Kiedy w młodych ustach słyhać pytanie „dlaczego?”
Ta broń wymierzona jest we mnie
Ta broń wymierzona jest w ciebie
Ta broń nie powinna być w jego dłoniach
Możesz ją odebrać
Ludzie tępi i tak tego nie zrobią
Ta broń może mnie zabić
Ta broń może zabić ciebie



NIE WIADOMO

Przybywam zawsze w świetle cienia
Gdy w kącie ścian nabrzmiewa mrok i sny
Połóż się spokojnie i weź w płuca haust mrozu
Gdy ciało Ci zadrży, pogłaszcz puchate kły
Widzę jakieś chłodne przerażenie w Twoich oczach
Ręce Ci stygną w bezruchu i usta otwierasz
Łzy Ci stanęły w gardle, zatrzymujesz oddech
Czemu tak piękne nagie ciało nachalnie zamarło?
Jak ja uwielbiam czuć na sobie ten wzrok
Czarnymi oczyma pochłaniam Twą nagość
I tępe, wielkie oczy, i słony zapach gorzkich łez
Rozpływam się w dźwięku drżenia zastygłych ust
Otwórz się na strach, moja piękna laleczko
Niech nikt nie pieprzy, że nie ma czego się bać
Wciągnij do nozdrzy raniącą, ostrą rozkosz
Czemu się wzdrygasz? Otwórz ramiona i usnij
Wiem, że się boisz i drżysz jak kukielka
Nie możesz się ruszyć i otworzyć powiek
Chcesz się obudzić, krzyczysz i płaczesz, ale nie możesz
Daj mi się porwać, czy to nie nęci?
Nigdy nie wiadomo, kiedy mnie poczujesz
Nigdy nie wiadomo, kiedy we mnie wejdziesz



KONIEC WIEKU XX

Uczucia proste? Zbyt złożone, by opisać je w słowach.
Przeżycia ulotne? Zbyt wieczne, by o nich zapomnieć.
Dotyk miniony? Zbyt dotkliwy, by został zmazany.
Przeszłość? A wciąż tak jaskrawie widziana w umyśle...
Przestrzeń dokoła? Zbyt ograniczona, aby odetchnąć.
Przepaść? Mym stopom zbyt odległa, aby odlecieć.
Niebo nade mną? Więc czemu gwiazdy w mych dłoniach?
Początek? Jedynie, gdy skończy się życie...
Konieczność? Wątpliwa w każdym swym tchnieniu.
Pewność? Jedynie w nadmiarze wątpliwości.
Namiętność? Wyłącznie na granicach snów.
Powszechność? Kiedy gest każdego wzajemnie odmienny...
Bezwzględność? W dłoniach trzymana przewaga.
Wątpliwość myśli? To nigdy nie będzie nam trwałe.
Piękno? Tak kruche, że płynie w ramionach.
Przyszłość? Zbyt niepewna, aby oddychać jej skargą...
Zemsta? — bezcenna. Cena? — wysoka.
Uczucie? — tajone. Prawda? — fałszywa.
Wrogość? — ponad wszystko. Uczciwość? — nieszczerza.
Wiara? — obłudna. Bóg? — ...
Życie — konieczność. Śmierć? — pewność.



SEBASTIAN BREJNAK

GŁÓD

Cukierki przestały mi pomagać
Trzeba się w końcu czymś nasycić
między młotem a kowadłem uwić gniazdo
z kolorowych papierków startych gazet nieruchomych nut
Nielirycznym „ja” wyrzeć zza metafory
zacerpnąć powietrza po ludzku skażonego
Zobaczyć jak tam pusto

POCHWAŁA ABRAHAMA

Zanim poczciviy Isaac powiedział
co powiedział
tłukły się szklanki beztrosko
a jeśli nie szklanki to jabłka
a jeśli nie jabłka to cokolwiek
(byle nie w próżni której nie ma)
Nieświadomi powagi sprawy
upadali ludzie na nosy
rozbijali kolana
łamali skrzydła
Podczas gdy wszystko wokoło
wiedziało



Ileż to marzeń poszło na dno
ile nadziei huknęło czołem o posadzkę
Powiedział co powiedział
Powiedział bo mu ciążyło
(nie bez obaw przed nadgorliwym ojcem
zawsze skorym do zabaw przy ognisku)
Kiedy po latach znalazł się w tłumie
jako geniusz jeden wśród wielu
zapomniał o namolnym prawie
prosząc o uchylenie okna
Kamień w wodę

NIEWYMÓWIONE

Kto jest za?
Kto przeciw?
Czy komuś przyszło do głowy
wstrzymanie się od głowy?
Odmienieni przez rodzaje
zstąpiliśmy hardzi i urojeni
W mianowniku przypadku
tajemnicy przypadku
Wrody wobec siebie
nawet wody nie potrafiliśmy
oswobodzić od swobody
Przez igłę przewlekaliśmy
błota pustyń
piaski bagien
łysiny lwów



grzywy rzekotek
Ni porządnej nogi u nogi
Ni zrozpaczonej matki przy płaczącym dziecku
Z bezmiaru pustki wydobyć
spojrzeliśmy na siebie z ukosa
Kto jest przychylny?
Kto leżący?
Kto kopie?
Dziwne niuanse
Koincydencja brana pod pachę
Cały kosmos z całymimi dziurami
to cały nasz skarb ukryty
pod niecałą kocią budą
Westchniesz —
zamienisz się w rechot
Na paliku usiądziesz różkiem
Zapalisz się kawałkiem starej gazety
Przeczytane rubryki miłosne
Podarte strzępki fantazmatów
Kto widzi że czuje?
Kto czuje że widzi?
A komu brak jest tchu
by zapierało dech w piersiach?
Policzeni
Zmyci
Wzięci w cudzysłów
Proszę włożyć kapelusz
Na dworze hula wichura
Do widzenia Pani
Do widzenia Panu
Resztę prześlemy pocztą



DELMORE SCHWARTZ
(AUTORSKIE TŁUMACZENIE JULIANA BAKUŁY)

BAUDELAIRE

Gdy zapadam w sen, nawet w trakcie snu,
Słyszę, dość wyraźnie, głosy mówiące
Pełnymi zdaniem, pospolicie i trywialnie,
Bez związku z moimi sprawami.

Droga Matko, czy został nam jeszcze czas
Na szczęście? Moje długi są bezbrzeżne.
Konto w banku — pod sądową jurysdykcją.
Niczego nie wiem. Niczego nie mogę wiedzieć.
Straciłem zdolność podejmowania starań.
Lecz teraz, jak przedtem, ma miłość do ciebie rośnie.
Zawsze możesz rzucić na mnie kamień, zawsze:
Naprawdę. To sięga dzieciństwa.

Po raz pierwszy w swym długim życiu
Jestem niemal szczęśliwy. Książka, niemal skończona,
Niemał wydaje się dobra. Ona przetrwa — pomnik
Mych obsesji, nienawiści i obrzydzenia.

Długi i niepokój nie przestają mnie osłabiać.
Szatan wyłania się przede mną, mówiąc słodko:
„Odpocznij dzień! Możesz dziś odpocząć i bawić się.
Jutro będziesz pracował.” Wraz z nocą
Mój umysł, zatrwożony zadłużeniem,



Znudzony smutkiem, porażony niemocą,
Przyrzeka: „Jutro: popracuję jutro”.
Za dzień odbywa się ta sama komedia,
Z tymże przyrzeczeniem, z tą samą słabością.

Dość mam tego życia w meblowanych pokojach,
Dość mam tych przeziębień i bólów głowy:
Znasz me dziwne życie. Każdy dzień niesie
Swoją ładunek gniewu. Tak mało znasz
Życie poety, droga Matko: muszę pisać wiersze,
Najbardziej męczący z zawodów.

Jestem dzisiaj smutny. Nie rób mi wyrzutów.
Piszę z kafeterii nieopodał poczty,
Pośród stuku bilardowych kul, brzęku naczyń,
Bicia mego serca. Proszono bym napisał
„Historię karykatury”. Proszono bym napisał
„Historię rzeźby”. Czy mam napisać historię
Karykatur rzeźb twej postaci w mym sercu?

Choć kosztuje cię to niezmierną udrękę,
Choć nie możesz uwierzyć, że to konieczne,
I wątpisz, czy suma jest odpowiednia,
Prześlij mi, proszę, pieniądze na przynajmniej trzy tygodnie.



DOGS ARE SHAKESPEAREAN, CHILDREN ARE STRANGERS

Psy są szekspirowskie, dzieci są nam obce,
Niech Freud i Wordsworth mówią o dziecku,
Anioły i Platoniści powinni osądzać psa,
Biegnącego psa, który przystanął, wydymając nozdrza,
Później zaszczekał i zawył; chłopca, który uszczypnął siostrę,
Małą dziewczynkę, pieśń z „Wieczoru Trzech Króli”
Śpiewającą tak, jakby rozumiała wiatr i deszcz,
Psa, który zawył, słysząc koncertowe skrzypce
— O, smutno mi, gdy widzę psy i dzieci!
Bo są nam obce, są szekspirowskie.

Powiedz nam, Freudzie, czy możliwe, że urocze dzieci,
Miewają tylko brzydkie sny o czynnościach cielesnych?
I ty także, Wordsworth, czy dzieci rzeczywiście
Obleczone są w chwałę, wywiedzioną z ciemnej Natury?
Pies, który potulnie węszy przy ziemi,
Dziecko, które wierzy snom i lęka się ciemności,
Wiedzą więcej i mniej niż wy: wiedzą doskonale,
Że ani sny, ani dzieciństwo nie są pełną odpowiedzią:
I wy jesteście obcy, jesteście szekspirowscy.



Miej wzgląd na dziecko, miej wzgląd na zwierzę,
Bądź otwarty na obcych, ale badaj codzienność,
Wiedząc, że niebo i piekło nas otaczają,
Lecz to, to, co wymawiamy, nim owładnie nami żal,
Czym żyjemy za naszymi nieujrzanymi twarzami,
Nie jest snem, ani dzieciństwem czy też
Mitem, ani krajobrazem, ostatecznym czy skończonym,
Gdyż jesteśmy niekompletni i nie znamy przyszłości
I szlochamy lub wyrażamy swe dusze tańcem
W takt wybijany przez sylaby za kurtyną:
Jesteśmy szekspirowscy, jesteśmy obcy.



MICHALINA JADCAK



nie ma rzeczy niemożliwych
poza tymi,
które wyobrażamy sobie przed snem
zaklęcia milczane w ciemność
i bajki opowiadane sobie:
wymyślę wszystko
niech się tylko nie stanie
będę każda
niech się tylko wydarzy
ale rano
nie ma naj
gorszych ani lepszych
zdarzeń pełnych jak kula
albo splecionych ciasno
i jedyne, co się da wtedy przeżyć
to tragedie z przerwą na oddech
szczęścia do złożenia z kawałków





jak
rozliczyć czekanie na pełną godzinę
opowiedzieć chwile,
w których nie ma miejsca na nic
poza byciem
czas niespodziewanie pusty
między robieniem rzeczy a przenoszeniem przedmiotów
przyłapanie się na istnieniu
moment na stanie przed sobą pozbawionym cech
obecnym do granic i bardzo natarczywie
najwyższy stopień świadomości
ale bez ulgi i zgody
za to z pytaniami
korzystającymi z rzadkiej okazji do krzyku
a więc
jak
to tak
i teraz co
odwrócić wzrok z powrotem na zewnątrz
ogłuchnąć i oślepnąć
jeśli chce się przeżyć
następną pełną godzinę



HELENA

PROCENT ŻYCIA W ŻYCIU

jakiś procent naszych oczu zawsze patrzy w tym
samym kierunku
coś nieważnego często robi z nas ślepców

kalectwo nabyte — gdy brak myśli
jakiś procent naszych dłoni zawsze szuka tego
samego kierunku
coś kruchego w ramionach kochanków
kalectwo nabyte — miłość

jakiś procent naszych mózgów nigdy nie pokaże
nam kierunku
coś jakby dziewięćdziesiąt pięć procent mózgu
kalectwo — nienabyte



WARSZAWA

warszawie nie brakuje żebraków
 pijaków
 i proszących o dwadzieścia złotych
 na bilet
 w warszawie spotykam ludzi
 ze świata
 i zbyt często zadaję niezręczne
 pytania
 warszawo ukradkiem zaczęłam
 cię lubić
 za sukienkę z pałacu kultury
 i kąpiel wody w fontannie

UŁUDA

W Polsce XXI wiecznej
 szary chodnik
 niknie w oczach drogi mlecznej
 Wszechbytniemocy
 brak Boga pomocy
 tylko ślimak się ślimaczy
 by z trawy o beton zahaczyć
 Żeby nie zginął chwycę go za dom
 wielką boską ręką
 i przeprowadzę przez asfaltu ton
 by zieleni nowej zasięgnął
 W Polsce XXI wiecznej
 czekamy na cud
 by i nas wzniosł Bóg
 modlitwy klęczki pacierze
 W ułudę nie wierzę



WAMZEH

MAŁA ŚMIERĆ

przeddotyk ciepłych roztworów
przegryza granicę skóry
narusza wrażliwość wnętrza
trawi mnie do białości
a dla pewności
truczynę z martwego naskórka
o nieobojętnym zapachu
na moich ustach rozlewasz
upadam więc
bez szans i oddechu
choć błogo mi na ten koniec
jeden łyk podotyku
i tylko tak chcę umierać

REGENEZA

i stwarzał swój świat
ale nie z niczego
bowiem popełnił był wcześniej owoce bez smaku
i za szybko rosnące niezapominajki
teraz postanowił inaczej
albowiem depresje i szczyty nie walczą ze sobą
i rozsądek istnieje i winogrona
i nieba da się dotknąć
ale ze sceptycyzmem
i pierwszego dnia nowego porządku
spojrzy na te rzeczy które znów naprawił
i będzie wiedział że tym razem
są dobre



WARTOŚĆ BEZWZGLĘDNA

jestem średnią arytmiczną
tempa porażek i kroków przywództwa
jestem emocją podprogową
w niecierpliwości nadświadomej
jestem mięśniami tchórzliwym
pompuję krew do ucieczki
i tonę od nadmiaru
jestem sumą wypadkową
pochodnych decyzji i siły przypadku
jestem znakami zapytania
po wykrzyknieniach najdłuższych
jestem zderzeniem podczołowym
odnajduję sens przyczyny
a nie wiem ponad normę



NIEBIESKIE BOMBKI, SREBRNE ŁANCUCHY

Ojciec kupił dziś choinkę. Jest naprawdę ładna, gęsta, rozłożysta... Sto procent choinkowości w choince — powiedziałbym, jeśli ktoś by mnie spytał. Nabył, przyniósł, postawił, zawiesił lampki, nakazał zdobić i wyszedł.

Nie oponowałem. Pomyślałem sobie, że chyba pierwszy raz w moim życiu, wygląd świątecznego drzewka zależy tylko ode mnie. Postanowiłem wystroić je na swój bezbożny sposób. Być może w poprzednich latach ktoś jeszcze się łudził, że będziemy w tym domu świętować narodziny Jezusa, ale w tym roku stało się jasne, że nikt nie żywi takich złudzeń... Nasze święto jest czysto tradycyjne i to w tym złym znaczeniu. W tym bezmyślnym.

U nas przygotowuje się jedzenie, żeby było. Potem, przez trzy dni, domownicy próbują wcisnąć w siebie jak najwięcej, z czego i tak potem zostanie połowa. W całym domu śmierdzi kapustą, o czym miałem nie wspominać, ale po prostu nie da się tego przemilczeć. Ktoś kupił „pierniki”, ale podejrzewam, że to *coś* nawet przy piernikach nie leżało. Na ladzie w kuchni stoją dwa kartony sztucznego barszczu. Jak to dobrze, że nigdy nie wypracowałem u siebie nawyku picia chemii. Podejrzewam, że tak wyglądają święta w większości polskich domów, ale swoje własne bolą najbardziej, prawda? Nie będę rozwodził się nad magią świąt, a nawet, dla niektórych, nad cudownością narodzin boskiego dziecka, ale ludzie zwyczajnie zapomnieli, po co to wszystko.



W porządku, nie będę generalizował. U mnie w domu zapomniano, po co to wszystko. W czasie Wigilii nie dzielimy się jedzeniem, nie, tutaj to jedzenie dzieli nas.

Co roku wybucha kłótnia, bo babcia twierdzi, że spaliła makowca i już więcej go nie robi, a reszta rodziny próbuje jej wytłumaczyć, że ciasto jest pyszne i nie ma się czym przejmować.

No ale w tym roku tak nie będzie. Chyba.

Babcia się obraziła i wyjechała. Najprawdopodobniej. Bo obstawiamy też scenariusz, że tylko udawała wyjazd, żeby wymusić na nas pokorny telefon z prośbą o powrót. Ubierając choinkę, myślałem sobie, że podarowała nam najlepszy prezent, jaki mogła. Wręczyła nam ciszę z jej nieobecnych, obwiązanych złotą wstążeczką ust. To bardzo nieładne z mojej strony, wiem, ale jej nieobecność stanowi mniejsze zło. Nie będzie kłótni o makowiec, nie będzie kłótni o Watykan, o „duchownych”, o PO i PiS. Jednak to wcale mnie nie uspokaja, ponieważ reszta repertuaru pozostaje bez zmian.

Proszę Państwa, główną rolę zagra alkohol! Wiem, wiem, spodziewaliście się tego, ale Jezus pewnie się w grobie przewraca (ależ kochanie, Pan Jezus nie ma grobu), że w jego święto zapomina się o jego święcie i pije się zawzięcie. Nie zapomnę swojego ojca rok temu, całego czerwonego, pomarszczonego i skacowanego, jakby występował w jakimś żenującym reality show. Nie zapomnę ich zdjęć, pod choinką, nawalonych w trzy dęby i strącających bombki. Te, które się ostały, choć trochę porysowane, próbuję wieszać z boku. A i tak wiem, że nic nie będzie widać, bo nikt nie będzie patrzył.

No właśnie, wracając do naszego świątecznego drzewka, muszę wspomnieć, że w czasie całego procesu strojenia naszło mnie jeszcze więcej refleksji.

Czy nie powinniśmy robić takich rzeczy wspólnie, całą szczęśliwą rodziną? Bo na tym polegają te święta, co nie? No... Najwyraźniej nie. Byłem w domu tylko z psem, a on nie ma chwytnych kciuków, więc... Siostra dawno temu się wyprowadziła,



babcia się obraziła i trzasnęła drzwiami, matkę wyzyskują w pracy w przedświątecznym zakupowym szale, a ojciec poszedł robić coś niezrównanie ważniejszego na podwórku.

No dobrze, pomyślałem, niech ta choinka będzie duszą tych świąt. Ubiorę ją sam, bo tak właśnie z nami jest. Nie wiem w sumie, czemu jeszcze mnie to dziwi. Przecież w ten sposób wszystko się ze sobą zgadza. Wszystko jest na swoim miejscu.

Wybrałem tylko niebieskie bombki i tylko srebrne łańcuchy. Niech będzie zimna, Moi Drodzy, niech będzie adekwatna. Sąsiad, który wpadł na chwilkę, powiedział, że bardzo mu się podoba taka jednokolorowa choinka. Kiedy z pracy wróciła matka, przystanęła na chwilę (cud przed wigilią?) i pierwsze co zrobiła, to przyznała, że się postarałem.

— Dziękuję, mamie. Dałem z siebie wszystko.

A kiedy zgasilem wszystkie światła i zapaliłem tylko te na choince, kolorowe iskierki i półmrok przez nie stworzony najwyraźniej spotęgowały cały nastrój.

— Jest piękna — wyznała, wciąż stojąc w bezruchu.

Tak, ona wystroi nam ten czas. Wystroją go nam brak babci i brak makowca. Wystroją go nam alkohol i kłótnie po nim. Wystroją go nam samotność w pokojach i telewizory. Patrzcie, jakie wszystko jest piękne. Patrzcie, jacy jesteście ozdobieni.

Sto procent świąteczności w świętości.



I. JARZĄB

DZIESIĘĆ MINUT PO PÓŁNOCY

Pościel była chłodna i pachniała płynem do płukania tkanin, ponieważ Lorein wyjęła ją wczoraj z pralki i suszyła cały dzień na balkonowym sznurku. Lorein przyłożyła głowę do poduszki, czując ostry zapach suchych liści, które gnane wiatrem osiadały na balkonie. Z ulgą zamknęła oczy po ciężkim dniu pracy. Z różnych powodów ostatnio miała niewiele czasu na sen, ale nie narzekała, ponieważ lubiła, kiedy w jej życiu działo się coś więcej oprócz rutynowego sprzątania mieszkań co pewien czas urozmaicanego gotowaniem obiadu dla małych lokatorów domów, w których robiła porządki. Lorein sprzątała w kilku mieszkaniach na przedmieściach Oklahomy i przenigdy nie powiedziała głośno, że wstydzi się swojej pracy. Nigdy nawet tak nie pomyślała. Sprzątanie i porządkowanie sprawiało jej taką samą przyjemność, jaką malarzowi kolejne pociągnięcia pędzla na lnianym płótnie. To było coś, w czym Lorein czuła się ekspertką. I w rzeczy samej — była nią.

Jedno spojrzenie na zegarek wystarczyło, aby Lorein westchnęła z błogim poczuciem spełnienia. Wskazywał on trzy minuty po północy. Lorein ułożyła się na samym środku wielkiego małżeńskiego łóża i przyciągnęła do siebie pościel, opierając na niej głowę, mimo że nie czuła zmęczenia. Jej brzuch jednak nie pozwolił jej leżeć, sygnalizując, że jest pusty.

„Akurat teraz?”, mruknęła sama do siebie, poprawiając rąbek koszuli nocnej, która zaplatała się wokół jej bladych jak mleko stóp. Zsunęła z siebie pościel i podreptała do kuchni, nałożywszy na stopy



miękkie fioletowe kapcie.

Dom Lorein znajdował się w ostatnim budynku przy ulicy Wilsona na prawo od ronda. Na tej pustej i wyludnionej ulicy nigdy nic się nie działo. Nawet bezdomne psy nie wyły wieczorami, prosząc o kawałek mięsa. Tutaj nikt nigdy nie widział bezdomnych psów.

Lorein zapaliła światło w kuchni i ze szklanką zimnego mleka w dłoni odsłoniła do połowy pojedynczą żółtą roletę w oknie, wpatrując się w ledwie widoczne domki po drugiej stronie ulicy. Wiatr bawił się suchymi liśćmi, goniąc je po pustej ciemnej drodze asfaltowej. Niby paliły się tutaj latarnie, ale dawały one tak nikłe światło, że trudno było dostrzec, co dzieje się na podwórzu sąsiada z naprzeciwka.

Nieprzyjemny widok za oknem przyprawił Lorein o dreszcze, zasunęła więc szybko roletę i odłożyła pustą szklankę po mleku do zlewu. Jedno spojrzenie do wnętrza lodówki wystarczyło, żeby zdecydowała się na małą kanapkę z serem żółtym, którą pochłonęła w zastraszającym tempie. Nadal jednak nie czuła się senna, co wydało jej się dosyć dziwne, ponieważ wracając do mieszkania była przekonana, że pada z nóg i nie będzie musiała pomagać sobie żadnymi sztucznymi rozwiązaniami w postaci proszków nasennych.

Usiadła na jednym z dwóch małych taboretów przy drewnianym stoliku w kuchni i spojrzała z zastanowieniem na szafkę z lekami. Wyjąć czy nie?

Wewnętrzne rozmyślenia Lorein przerwał donośny huk za oknem, w którego wyniku aż podskoczyła ze strachu i na moment zastygła w bezruchu. Kiedy jednak zdecydowała się podejść do tego samego okna i odsłonić tę samą żółtą roletę, ulica wyglądała zupełnie tak samo jak przed pięcioma minutami — kilka tańczących na wietrze liści i czarny jak smoła pusty asfalt. Lorein zamyśliła się na chwilę. Być może huk był tylko wytworem jej umysłu? Nie brzmiał bowiem typowo — jak odgłos towarzyszący upadkowi większości ciężkich rzeczy pod wpływem działania siły grawitacji. Brzmiał bardziej złowrogo. Może to umysł Lorein

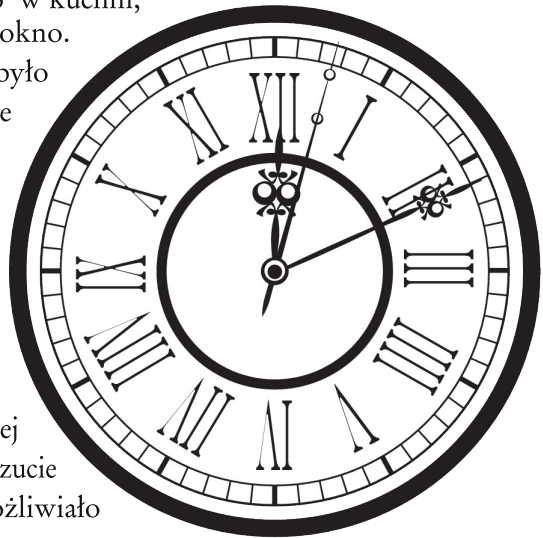


płatał jej figle i tak naprawdę tylko wydawało się jej, że nie czuje senności?

Zegarek wskazywał dziesięć minut po północy. Zazwyczaj o tej porze znajduje się w błogiej krainie snu.

Ponownie zasunęła żółtą roletę. Plastikowy talerzyk włożyła do zlewu, tuż obok szklanki po mleku. Nie miała ochoty na nocne zmywanie. Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu potencjalnych kandydatów na towarzyszy dla brudnych naczyń, lecz nic nie przykuło jej wzroku. Ze zrezygnowaniem postanowiła podreptać w stronę sypialni. Kiedy jednak zgasiła światło w kuchni, usłyszała donośne pukanie w okno.

Tym razem z pewnością było to prawdziwe pukanie, a nie żaden wytwór wyobraźni. Po jej plecach przeszedł dreszcz. Pukanie nie powtórzyło się, lecz Lorein poczuła, jak ze strachu drętwią jej koniuszki palców u stóp. Chciała zignorować tajemniczy odgłos, lecz coś jej na to nie pozwalało. To samo uczucie związało jej gardło i uniemożliwiało przełknięcie śliny.



„Spokojnie”, powiedziała do swoich myśli. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zapalić światła w kuchni i nie podejść do okna, żeby się upewnić, że niczego za nim nie ma, a jej wybujała wyobraźnia zwyczajnie płata jej figle. Po chwili jednak zdecydowała się cichym krokiem wrócić do sypialni, nasunąć na siebie kołdrę i zasnąć jak najszybciej. To rozwiązanie wydawało się najlepsze. Kiedy jednak ruszyła się z miejsca, w którym przez moment stała zdrętwiła ze strachu, ponownie rozległo się pukanie, tym razem do drzwi wejściowych. Lorein na nowo zastygła



w bezruchu. Nie była już do końca pewna, czy to, co się właśnie działo, było rzeczywiste. Starając się jak najdelikatniej wykonać ruch ręką, uszczypnęła się w okolicach ramienia.

— Lorein?

To był szept. Najdziwniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miała okazję usłyszeć. Brzmiał nieludzko, niemalże demonicznie.

Lorein zacisnęła zęby. To samo zrobiła z rękami, na dłoniach aż zbieleły jej kłykcie. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, bała się poruszyć nawet powieką. Przed jej oczami pojawiły się jej wszystkie sceny grozy z filmów, jakie oglądała. Przez chwilę uznała swój strach za irracjonalny, próbowała przekonać siebie, że to jest tylko wytwór jej wyobraźni, ale jej cera przybrała jeszcze bardziej mlecznobiały kolor, kiedy usłyszała kolejne szepty:

— Spokojnie, Lorein. Już idę.

Miała ochotę się rozpłakać. Nigdy nie była przesadnie emocjonalna i nerwy starała się trzymać na wodzy, jednak to, co działo się teraz z jej ciałem, nie pozwalało jej myśleć logicznie. Wiatr za oknem nasilał się z każdą sekundą i po chwili nie była pewna, czy słyszy kolejne szepty, czy to tylko powiewające za oknem liście objijają się o ceglane domy, które zaczęły wić się w powietrzu coraz energiczniej. Jej rozmyślania przerwało kolejne pukanie do drzwi.

„Morderca”, pomyślała w pierwszej chwili, panikując. „Jak w tych wszystkich książkach o psychopatach. Przyszedł, żeby mnie zabić. A wcześniej zgwałcił. Śledził mnie i wie, gdzie mieszkam. Na pewno mnie zabije”.

Jednakże gdzieś w środku pobrzmiwał również głos rozsądku: „Lorein, o czym ty do cholery mówisz?”

Nie zastanawiając się długo, wbiegła po schodach na piętro do sypialni. Nawet na górze słyszała pukanie do drzwi, które po pewnym czasie zaczęło huczeć jej w głowie. Złapała za telefon, szukając w kontaktach kogoś, kto byłby w stanie odebrać od niej wiadomość po północy



i w miarę możliwości uspokoić jej bijące jak oszalałe serce. Ze strachem stwierdziła, że nie ma nikogo takiego, wystukała więc numer alarmowy. Przez chwilę wahała się, czy zadzwonić. Nasłuchiwała, czy pukanie ustało, nic jednak nie wskazywało na to, żeby szeptki miały nękać ją na nowo. Była jednak pewna, że jeśli nigdzie nie zadzwoni, nie uśnie tej nocy. Wcisnęła zieloną ikonkę telefonu na ekranie komórki. Usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki i — zanim ktokolwiek zdążył się odezwać — Lorein wypaliła jednym tchem:

— Ktoś jest pod moim domem. Puka do drzwi. Mieszkam przy ulicy Wilsona 56. Proszę szybko przyjechać, bardzo się boję. Nazywam się Lorein Stephert. Proszę...

Przez ułamek sekundy Lorein wydawało się, że po drugiej stronie słuchawki ktoś głośno oddycha. Po chwili rozległ się ten sam dźwięk podnoszonej słuchawki, a w uszach kobiety zabrzmiał ów gardłowy szept:

— Spokojnie, Lorein. Już idę.



DOROTA ANNA WRÓBEL

MO(T)HERLAND

Rozdział 1

A więc Polski już nie ma. Przez chwilę jeszcze z tą myślą odbijającą się echem pomiędzy moimi uszami siedzę i patrzę w szary papier gazety, po którym litery zaczynają biegać jak mrówki. Nie ma już Polski i to zdanie sprawia, że robię *switch* na moją rodzimą mowę, co już dawno mi się nie zdarzyło. Więc myśli zaczynają mi cieknać po polsku, po ojcowsku i po matczynemu, chociaż już przez te wszystkie lata mojej niezmaconej niczym emigracji zdążyłam wyplenić ze swojego myślenia te wszystkie *illogical grammar structures* oraz świszczące i szeleszczące *speech sounds*. Nigdy, aż po dziś dzień, słowo „Polska” nie uderzyło mnie tak mocno, jak dzisiaj, kiedy tej Polski już nie ma.

Nekrolog Polski czytam.

Moje pokolenie, pokolenie rówieśników trzeciej erpe, wychowało się w jakimś obłąkańczym kulcie patriotyzmu. Dla nas to było chore szaleństwo, niespełnione tęsknoty starszych generacji tłamszonych przez komunę. Dla wszystkich, jeśli by nie liczyć tych *lunatics*, którzy w listopadowe popołudnia rozbijali się po faszystowskich marszach, skandując te swoje nacjonalistyczne haselka i rujnując przy tym stolicę, jakby im mało było tego, co Niemcy tam urządzili — już teraz blisko stulecie temu. Od dziecka, pamiętam, uczono mnie otaczania nabożną czcią hymnu, godła i flagi. Do hymnu baczność, zawsze, ilekroć szkolny apel i galowe stroje, pompatyczna groza. Polska była religią, orzełek zawsze ponad krzyżem, Polska była Bogiem. A teraz Polski już nie ma. Bóg umarł i Polska umarła.



Składam gazetę i zdejmuję okulary, wciąż jeszcze z poczuciem niedowierzania. A może rezygnacji? Ilekroć wykonuję taki gest, to znaczy zamykam gazetę i odkładam ją na biurko wraz z okularami, dziecko moje spogląda na mnie z pobłażaniem, matka jest taka *old-fashioned*. Mój Boże, jakie tam dziecko, to dorosły człowiek jest, dwadzieścia lat skończone, mężczyzna. Zawsze wzbraniałam się przed tą myślą, ale wbrew wysiłkom ciągle mi się wydaje, że on jest już z innego świata i nigdy się nie dogadamy. On już nie jest częścią mnie, pępowina pękła. Ja w jego wieku taka nie byłam i nie mam szans, żeby go zrozumieć. Ani on mnie. A przecież przez to jedno pokolenie świat nie zmienił się tak bardzo. Na pewno nie tak, jak w czasie dzielącym młodość moich rodziców i moją. Tylko że ja potrafiłam rozmawiać z moimi rodzicami. Moje dzieci już ze mną nie potrafią.

I to nie to, że mieliśmy takie same poglądy, o nie. Spieraliśmy się, czasem wręcz kłóciliśmy, ale było o co. O tradycje, które dla moich rodziców były święte, a dla mnie kuriozalne. Ale ja uparcie tę kontestację artykułowałam przy każdej możliwej okazji. O religię się spieraliśmy też, o religię, którą oni wyznawali bez zawahania, bo była to jedna z nielicznych rzeczy oczywistych i niezaprzeczalnych w ich życiu; a ja religią gardziłam. Ale o tym się rozmawiało. Tymczasem moje dzieci mnie zbywają. Mówię synowi i mówię córce, żeby uczyli się polskiego, wszak są Polakami przynajmniej w połowie, i przecież wcale nie chodzi o to, żeby tę Polskę cholerną czcili i sobie dla niej flaki wypruwali albo nie daj Boże za nią ginęli. Ale żeby znali. Żeby chociaż Miłosza czasem przeczytali w oryginale, choć wątpię, czy kiedykolwiek czytali nawet przekład. Pewnie w ogóle nie wiedzą, kto to był. A oni tylko: „Oh mom, come on. No nie wygłupiaj się mam, daj spokój. My nie mamy czasu na takie rzeczy. Mam, nie wygłupiaj się”.

Dla moich dzieci to jest głupstwo.

A James w tym czasie wrzusza ramionami, nie powie ani słowa, bo przecież to nie jego sprawa. On ma swoje *business*, więc siedzi z nosem w tych swoich *business* i milczy, i tak już od lat. To znaczy rozmawiamy, oczywiście, że rozmawiamy. O pogodzie, *about Michael's graduation* i o Lilly,



przyjaciółce naszej Alice, którą nasza latorośl, ku naszemu, choć z konieczności skrywanemu ubolewaniu, nazywa swoją dziewczyną. Choć być może, ubolewanie jest tylko moje. Bo czyż mamy z Jamesem jeszcze cokolwiek wspólnego prócz dzieci, już-nie-dzieci i domu, już-nie-domu? Może Alice jeszcze zmieni zdanie. Ale przecież jej nie powiem, że mam taką nadzieję, bo wtedy uzna, w najlepszym razie, że jej matka zdziżała do reszty, że zupełnie jej odbiło i siedzi w tym swoim *old-fashioned* świecie konserwatywnej, prostackiej pruderii. W najgorszym — odwróci się ode mnie na dobre, z myślą, że ją przekląła. A przecież ja nigdy, bez względu na wszystko, nie odrzuciłabym swojego dziecka! Ona nie rozumie. Póki nie ma własnych dzieci, nie zrozumie. To, że nie popieram jej wyborów nie oznacza, że jej nie kocham. Moja mała Alice... A może tak jest dobrze, może tak będzie szczęśliwa? Może to ja powinnam zmienić zdanie?

I myślą sobie pewnie, Alice i Michael, że ich rodzicielka to Bóg wie jaka patriotka, bo mówi czasem do nich po polsku, a oni pojmują tylko co piąte słowo. Zapominają, że gdy tylko nadarzyła się sposobność, ich stara matka, wtedy jeszcze całkiem młoda, czmychnęła na Wyspy, żeby tylko wyrwać się ze wschodnioeuropejskiego grajdołka. Taka była światowa i przepojona wiarą, że po drugiej stronie kanału La Manche trawa jest bardziej zielona.

Nie była, ale *who cares*. Praca była tak samo ciężka i pieniądze uciekały równie łatwo. Ale zostałam — pewnie dlatego, że któregoś sierpniowego dnia, w jakiejś knajpie przy Leadenhill Street poznałam Jamesa i dwa lata później zostałam jego żoną. Dzisiaj mogę już tylko wierzyć sobie na słowo uwiecznione w ówczesnym dzienniku, który mimo dwóch przeprowadzek, jakimś cudem się zachował, że byłam zakochana. Nie pamiętam tego uczucia. Nie pamiętam *butterflies in my stomach*. Dziś widzę to małżeństwo jako cyniczny akt skoligacenia się z bardziej cywilizowaną nacją. Trochę wstyd. Ale przecież podobno kochałam Jamesa. Kochałaś Jamesa naprawdę, Karolino? Czy Anglię kochałaś naprawdę?



Zamykam gazetę i zdejmuję okulary, mówię: „James, Polski już nie ma”. A James tylko podnosi oczy znad komputera i milczy. Powtarzam: „Nie ma Polski, w Warszawie już montują nowe tablice, grażdanką”. A James wzdycha tylko i mówi: „*Darling*, to było do przewidzenia”. Wyczuwam w jego głosie cień autentycznego żalu, takiego, który czuje się, składając kondolencje; ale to tylko cień i niezręczność. On nie czuje i nie może czuć tego, co ja. No pewnie, że do przewidzenia. Ale ja tego nie przewidziałam.

Muszę jechać do matki. Została tam sama, w Warszawie, a ja nawet nie wiem, co tam się dzieje. Pisali o zamieszkach w stolicy, ba, trąbili o tym od paru miesięcy, a w okolicach Lublina tłukli się nawet z pełną parą, tylko że ja jakoś przez ten cały czas starałam się to wypierać ze świadomości. Przecież to daleko, a jeśli nawet w Warszawie, to na Wawrze na pewno spokój. W tym przekonaniu też, to znaczy w przekonaniu, że to wszystko mojej mamy zupełnie nie dotyczy, utwierdzały mnie cotygodniowe rozmowy z nią. Nie martw się, Karolciu, mówiła, tu u nas jest spokój, telewizja jak zwykle przesadza, a do miasta nie jeżdżę, najdalej to na Pragę, mam tu wszystko, czego potrzeba starej emerytce, śmiała się. No tak. Przecież nikt się nie będzie napażał na takim zadupiu jak Wawer. Dopiero teraz dociera do mnie, że to coś, co widziałam w jej oczach, to niepokój, może nawet lęk. Boję się teraz o mamę. Muszę jechać. Muszę ją stamtąd zabrać.

Dawno nie byłam w Warszawie. Przez ten cały czas to rodzice mnie odwiedzali. Najpierw, gdy pracowałam w polskiej knajpce u Stępniowej i długo nie miałam urlopu, by choć na chwilę wpaść na stare śmieci. Potem, gdy poznałam Jimmy’ego i już nie bardzo chciałam ruszać się z miejsca. A potem urodziły się dzieci i po prostu wygodniej było, żeby rodzice przyjeżdżali tu, a nie my tam. W sumie pamiętam tylko jedne wakacje, jak pojechaliśmy z siedmioletnim Michaeliem i pięcioletnią Alice do Warszawy, to był chyba jedyny raz, kiedy dzieci były w Polsce. James nigdy z nami nie jeździł, bo praca,



business. Ja wtedy nie pracowałam, więc spędziliśmy bite dwa miesiące na Wawrze, mama gotowała cudowne obiady, które dzieci zjadały, aż im się uszy trzęsły, na co dzień nie miały takich rarytasów. Z początku nie wiedziały, co to jest, to brudne i brązowe, co babcia obiera nad *dustbin*, bo jedyne ziemniaki, jakie znały, to te pakowane w worki, od razu obrane i ugotowane. Obrzydliwe, swoją drogą. Tata natomiast skonstruował małuchom domek na drzewie, który dzieciaki wspominają chyba po dziś dzień, taki był fajny. I chyba do tej pory trzyma się w wawerskim ogródku przynajmniej częściowo. Błogie czasy.

Alice tylko z rozbawieniem pytała babci: „*Granny*, ale czemu ty tak śmiesznie mówisz?” Rzeczywiście, rodzice rozmawiali z małymi po angielsku, nie chcieli ich w wakacje zdręzczać nauką trudnego języka, mimo że uparcie na to nalegałam. Bezskutecznie. Ilekroć mówiłam do dzieci po polsku, albo nie reagowały i tylko chichotały, albo odpyskiwały po angielsku. Babcia i dziadek zachwycali się świergotaniem małuchów, ale ich angielski – chociaż w warunkach polskich cokolwiek sprawny – wydawał się dzieciom śmieszny. Byli jednak uradowani, gdy wnuczęta z powagą i czasem też z oburzeniem poprawiały ich błędy. Małe mądralińskie. I dlatego teraz to Michael i Alice śmiesznie mówią, jeśli w ogóle mówią po polsku.

Ostatni raz mama była u nas dwa lata temu. Już wtedy nie czuła się zbyt dobrze. Od tamtego czasu kłopoty z sercem nie pozwalały jej się ruszać gdziekolwiek poza Warszawę, a co dopiero do Londynu. Zresztą, odkąd umarł tata, mama niechętnie opuszczała najbliższą okolicę. Przestała nawet odwiedzać koleżanki na Mokotowie i zaszyła się w tym naszym starym, wawerskim domku, który z roku na rok popadał w coraz większą ruinę. Rozmawiałyśmy tylko raz albo dwa razy w tygodniu i starałam się przekonać mamę, by się do nas przeniosła. Ale dla niej to nie wchodziło w grę, tu jest moje miejsce, mówiła. Tu znam okolicę, tu mam przyjaciół i lekarza, i tu leży tato, ja go



nie mogę zostawić. Mamo, daj spokój, mówiłam. Taty nie uszczęśliwisz, siedząc na tym wygwizdowie. Wiesz, że z miesiąca na miesiąc robi się mniej bezpiecznie, z nami będzie ci dobrze i na pewno wygodniej. Mówiłam. A ona, nie, nie, córuchna, co ty w ogóle gadas wy macie swoje życie i starej babci nie potrzebujecie do szczęścia. Zresztą, mój angielski, jak ja bym się odnalazła w tym Londynie...

To jest chyba właśnie ten moment w moim życiu, w którym powinnam przestać się słuchać matki. Zabukowałam lot do Warszawy. Jeden tam i dwa z powrotem. Nie będę dzwonić, pomyślałam.

James, jadę po mamę.



MARIAN D.

WIECZORNY KLUB ZAŚCIENNY

Niedzielną noc była przepiękna. Sklepienie pełne gwiazd i księżyc w pełni dawały zwierzętom zmierzającym na kolację nadzieje na udany wieczór.

— Dobry wieczór, panie Borsuku — wygruchał gołąb odziany w małą pelerynkę i równie mały kapelusik.

— Ach, dobry wieczór, panie Gołębiu! Nie sądziłem, że się pan pojawi — rzekł Borsuk. — Ehm, wie pan o czym mówię — dodał gładząc nerwowo swój drogi surdut. Nie lubił mówić o zamożności, przynajmniej nie przy ludziach, z którymi nie mógłby wyśmiać biedniejszych.

— Och, wie pan, jak to jest. Trudno zejść z tej karuzeli, hehe.

— Rzeczywiście. Ja bym nie dał rady. Ale pan...

— Proszę pana Borsuka! Jesteśmy częścią wspólnoty, nie możemy ot tak rezygnować! — uniósł się pan Gołąb.

— Racja! Racja! — Pan Borsuk wyciągnął z małej kieszonki złoty zegarek i spojrzał na wskazówki. — Cholewka, już za dziesięć minut dwunasta! Niech pan leci i zajmie dobre miejsce!

— Tak późno?! Jejku, bez zegarka trudno sobie poradzić. Może faktycznie zrobię, jak pan mówi.

— Proszę się nie krępować. — Pan Borsuk przybrał bardzo przyjazną minę.

— Więc do zobaczenia przy stole! — Gołąb wzbiał się w powietrze i skierował się ku niedużej, lecz wyraźnie bogatej willi stojącej u podnóża lasu.

Dom należał do jakichś ludzi. Bezimiennych szarych kukieł bez wyrazu otoczonych drogimi, błyszczącymi rzeczami. Marny widok, lecz ważne ogniwo wspólnoty.



Pan Borsuk od razu po odlocie znajomego przyśpieszył kroku. Nie miał ochoty dzielić z kimkolwiek piękną podróżą przez polankę dzielącą las od ludzkiej siedziby. Nie zarzucał nic panu Gołębiowi, ale perspektywa dłuższej rozmowy czy w ogóle przebywania w jego towarzystwie nadzwyczajnie Borsukowi nie odpowiadała. Tak po prostu, jakoś, to nie był ten poziom. Ale pan Borsuk bardzo szanował pana Gołębia. Naprawdę.

Im dalej do przodu posuwał się pan Borsuk tym wyraźniej widział drgający we wszystkie strony ciemny sznur to podenerwowanych, to podekscytowanych zwierząt, które czekały cierpliwie w kolejce przy wyrwie w ogrodzeniu, by wejść na dziedziniec willi.

— Oho! To chyba pan Borsuk! — podniósł głos pan Lis i wyściubił swój rudy pyszczek z kolejki, by lepiej przyjrzeć się nadchodzącemu gościowi.

— Tak, tak! To na pewno on — przytaknął Kret i pomachał w zupełnie innym kierunku.

— Panie Krecie, pan jak zwykle, zaskakująco nieomylny — zahukała pani Sowa i poprawiła swoje okrągłe okulary. Miała taki nawyk, że zawsze często sprawdzała czy nowe rzeczy są prawdziwe i znajdują się w miejscu, w którym ona je umieściła. Była nieco staroświecka i bardzo lubiła owo myślenie o gatunku, do którego należała. Lubiła wyglądać na mądrą, choć taka nie była.

Nagle na początku kolejki zawrzało.

— Jak chcesz pan znów zawieść wszystkich zgromadzonych, to proszę bardzo! — wrzeszczał pan Dzik ubrany w zupełnie niepasujący do jego barbarzyńskiego wyglądu smoking.

— Zmęczony jestem. Rano wstać powinienem. Zapomniałem jak zwykle. — odpowiedział grzecznie pan Kogut.

— W delegację trzeba się ubrać, a nie jak zwierzę... — złościł się pan Dzik, który od jakiegoś czasu wybierany był przez wspólnotę jedynie na opiekuna delegacji, a nie uczestnika. Fakt ten nieco uwierał w kopyto zawsze energicznego i towarzyskiego, pana Dzika. Mimo wszystko



ten, jak na honorowego mężczyznę przystało, przyjmował decyzje większości i wykonywał powierzone mu zadanie najlepiej, jak potrafił. Czasami nawet zbyt się do tego przykładał.

— Oduść pan. Kogut jest zawsze zaspany, siedzi wiecznie z głową w chmurach. Cieszymy się, że z nami leśnymi przystaje chociaż nie musi — stanął w obronie pana Koguta pan Królik.

— Dobrze, ale to ostatni raz!

— Oczywiście, oczywiście. — Kogut wszedł przez otwór i podreptał leniwie w stronę sekretnego wejścia do domu.

— Cóż to?! Kogut znów rozrabia? — sapnął pan Borsuk, stając na przodzie kolejki.

— Spokojnie, panie Borsuku. Wszystko jest w porządku. — Pan Dzik ukłonił się na tyle, na ile pozwalało mu jego nieelastyczne ciało, i odsunął się z przejścia. — Zapraszamy, zapraszamy.

Niektóre zwierzęta stojące w kolejce wykrzywiły się troszkę po tym, jak pan Borsuk został wpuszczony bez czekania, lecz nikt nie wyraził wobec tego sprzeciwu. Tak już było. Nikt nie pamiętał już, dlaczego pan Borsuk mógł więcej i lepiej i nikt tak naprawdę się tym nie interesował. Pan Borsuk ubierał się elegancko, schludnie, zawsze i wszędzie odnosił się do wszystkiego z pewną dozą wyższości. Wszyscy to akceptowali, a przedstawienie trwało dalej.

Sekretne wejście do willi było w rzeczywistości, niedomykającymi się drzwiami przeznaczonymi dla personelu. Pan Borsuk wszedł do środka i podreptał w kierunku holu. Przeszedł przez kuchnię, pomieszczenia dla pracowników i gdy dotarł na miejsce, przystanął na chwilę. Westchnął cicho i zaczął gramolić się po rozwidlających się dębowych schodach pokrytych czerwonym miękkim dywanem. Skręcił w lewo i doszedł do momentu, w którym schody zaczynały się odwracać w drugą stronę. Tam, przy ścianie do połowy obitej drewnem, czekała pani Mysz. Miała na sobie miniaturową białą sukieneczkę, która zabawnie kontrastowała z jej szarą sierścią.



— Panie Borsuku! Świetnie jest pana widzieć! Widzę, że pan w formie — zapiszczała.

„W formie. Ledwo wszedłem po tych schodach!” — pomyślał.

— Oczywiście! Jak zawsze, jak zawsze! Czy mogę wejść?

Pani Mysz, która uwielbiała rozmawiać i teraz również na to liczyła, posmutniała lekko i złapała się za głowę.

— Och! Przepraszam, nie chciałam pana zatrzymywać. — Podeszła do drewnianego obicia i zastukała w nie leciutko.

Zza ściany rozległ się chrobot i po chwili w ścianą przesunęła się w bok, odsłaniając korytarz.

— Witamy pana — w wejściu stanął pan Sowa. — Czy nie widział pan może mojej żony?

— Pani Sowa zdaje się czekać w kolejce.

— Ach. Ona tak zawsze. Musiała się wystroić i teraz pewnie nie udaje się wejść.

— Kobiety — zaśmiał się lekko pan Borsuk, ale pod wpływem spojrzenia pani Myszy śmiech zmienił w chrząknięcie.

— Proszę wchodzić. Zaraz zaczniemy.

Pan Borsuk minął pana Sowę i wszedł do środka. Wnętrze zawsze robiło na nim wrażenie. Całe pomieszczenie było niesamowicie podobne do wnętrza całego domu. Ściany do połowy obite wypolerowanym do połysku drewnem, a reszta obklejona beżową tapetą z ciemnymi wymyślnymi wzorkami, które wespół z migocącym światłem padającym ze świeczników tworzyły niesamowicie przyjemny, lecz w dziwnie intrygujący sposób, również i tajemniczy klimat.

Pan Borsuk przeszedł przez krótki korytarzyk i wszedł do głównego, a zarazem jedyne, pokoju. Na środku stał duży, dębowy stół, nakryty wszystkimi, niezbędnymi do świetnej uczy, naczyniami i sztućcami, a na samym jego środku stała pusta, duża, srebrna taca. Wokół stołu zgromadzone były rozmawiające ze sobą zwierzęta. Wszystko wskazywało na to, że wieczór będzie udany.



— Jest i pan Borsuk! — wykrzyknął, zeskakując ze swojego krzesła pan Zając.

— Dobrze pana widzieć — ucieszył się pan Borsuk. Bardzo lubił pana Zająca, z którym świetnie się dogadywał.

— Wyśmienity smoking. — Pan Zając zlustrował odzienie pana Borsuka.

— Och, pana również, bardzo dobrze na panu leży!

— Zapraszam do stołu!

Pan Borsuk podszedł do wolnego miejsca obok pana Zająca i zasiadł do stołu. Wymienił z innymi zwierzętami pozdrowienia i pogрузzył się w rozmowie z panem Zającem, który zaczął już wygłaszać tyradę na temat tego, jak trudno jest w tych czasach o dobrego krawca.

W międzyczasie do ukrytego pokoju wszedł pan Lis, a zaraz, jako ostatnia, weszła pani Sowa. Wszyscy witali się, rozmawiali i się śmiali. Najgłośniej zachowywał się oczywiście pan Indyk, który w zwyczaju miał przechwalanie się swoją brawurową ucieczką z farmy niedaleko stąd.

— ...i wtedy skoczyłem mu do oczu! Piszczął jak dziewczynka — śmiał się ze swojego dawnego właściciela.

Prawda oczywiście była nieco inna. Pan Indyk zapragnął nocnej przechadzki po gospodarstwie, przez przypadek wyszedł przez otwartą bramę i się zgubił. Każdy o tym wiedział, ale większość uważała za zabawne słuchanie, jak każdego tygodnia w historii pojawiała się coraz więcej nowych faktów.

Przy stole siedział także pan Bóbr, który rozmawiał o możliwościach rozwoju lasu z panem Szopem i panem Lisem. Pan Sowa, po zajęciu miejsca, szeptał miłe słówka swojej ukochanej, a pani Wiewiórka zachwycała się ich wielką miłością i mówiła o swoich marzeniach panu Wilkowi, który, jako że był już bardzo stary, ledwo ją słyszał i bardziej niż problemy pani Wiewiórki, frapował go ruszający mu się kieł. Pan Kogut przysypiał i budził się za każdym razem, gdy głowa opadała mu na talerz. Obok niego siedział pan Gołąb, który jako jedyny był cicho i uśmiechał się do wszystkich. Właściwie nikt go tutaj nie znał i nie do końca lubił, ale jego mały móździek nie potrafił tego wynioskować. Cieszył się po prostu, że ma towarzystwo



inne niż jego żona i czworo piskląt.

Wreszcie, po jakimś czasie, gdy każdy porozmawiał z każdym, pan Sowa oderwał się od pani Sowy i wstał. Wszyscy momentalnie ucichli i zwrócili się w jego stronę.

— Dziękuję wszystkim za przybycie. Zanim rozpoczniemy, muszę wyrazić swój podziw. Nigdy w historii spotkania wspólnoty nie cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem. Dowodem są nie tylko tłumy, ale również przyjaciele, którzy wcale nie musieli się pojawiać, lecz są dzisiaj z nami! — Pan Sowa kiwnął w stronę pana Gołębia i pana Koguta, który drzemał z łebkiem zawieszonym milimetry nad talerzem. — Pragnę także gorąco podziękować panu Kotu, który dzięki swojej życzliwości udzielił nam tego wyśmienitego miejsca.

Wszyscy odwrócili głowy w stronę kredensu stojącego w zaciemnionym kącie na którym, do tej pory niewidoczny, siedział sobie pan Kot. Na podziękowania zareagował machnięciem ogona, które mogło oznaczać przyjęcie aprobaty zgromadzonych, nieprzyjęcie, obojętność, skromność lub najzwyczajniej w świecie nic. Pan Kot uchodził za ekscentryka.

— Usiądźmy więc wszyscy wygodnie, skupmy się i zaczynajmy! — zakończył swoją przemowę pan Sowa.

Każde ze zwierząt przy stole ucichło, zamknęło oczy i zawiesiło głowę w skupieniu. Po krótkiej chwili, bez żadnego znaku, bez ostrzeżenia, z dziką zawziętością wszyscy rzucili się na siebie. Każdy atakował, czym mógł; drapał, gryzł, dziobał. Schludny, elegancki pokój zamienił się momentalnie w krwawy plac walki. Początkowe okrzyki bojowe zwierząt zostały zastąpione przeraźliwym skrzekiem bólu. Pan Wilk rozszarpał właśnie pana Gołębia gdy nagle zawył, a z jego paszczy wypadł kieł. Chwilę rozproszenia wykorzystała pani Wiewiórka, która skoczyła na pysk pana Wilka i szybkimi ruchami wydrapała mu oczy. Kawałek dalej pan Sowa wydziobywał panu Zającowi wnętrzości. Krew bryzgała we wszystkie strony. Pan Borsuk walczył zaciekle z panem Lisem,



który próbował przegryźć mu nogę. Uratowała go pani Sowa, która próbując uciec przed ostrymi pazurami pana Szopa, wbiła się w powietrze i zrzuciła ze stołu prawie całą zaprawę. W ten sposób duży porcelanowy dzbanek rozbił się na głowie pana Lisa, pozbawiając go przytomności. Pan Borsuk czym prędzej podniósł się z podłogi, minął wykrwawiającego się pana Bobra, który resztkami sił próbował zrzucić pana Koguta ze swoich pleców i skoczył na niespodziewającą się ataku panią Sowę i wspólnie z panem Szopem rozerwał jej ciało na pół.

Podczas tego krwawego przedstawienia pan Kot siedział niewzruszony na komodzie. Zastanawiał się, czy zgłodniał. Gdy zwierzęta w dole, rycząc wściekle, unosiły na tacy porozrywane ciała pana Gołębia, pani Sowy i pana Borsuka, stwierdził, że jednak jeszcze nie potrzebuje posiłku. Wtedy zwrócił na chwilę uwagę na rozgrywające się przed nim sceny. Zastanawiał się, dlaczego zwierzęta zebrały się razem, stworzyły uroczystą atmosferę, a potem po prostu zaczęły się zabijać. Szybko doszedł do wniosku, że nie wie.

„W końcu to tylko zwierzęta” — pomyślał i nagle zmienił zdanie co do bycia głodnym.



KATARZYNA KRĘŻOŁEK

KTO PODPADŁ PRZYBOSIOWI?

Wiek XX poszukiwania to czas, w którym usilnie poszukuje się nowego wyrazu artystycznego. Próby tych poszukiwań i ich efekty (?) przedstawiane są w twórczości literackiej. Jedną z ciekawszych polemik pozostała do dziś dyskusja wokół turpizmu.

Po jednej stronie Różewicz, Białoszewski, Grochowiak (przedstawiciele tendencji turpistycznych), po drugiej Julian Przyboś, jeden z najwybitniejszych awangardzistów krakowskich. Młodość kontra starość? Walka o „rząd dusz”? Znamiennym jest, że i Białoszewski, i Różewicz byli dawnymi uczniami Mistrza. To relacje pomiędzy nimi spowodowały konflikt, który odbił się szerokim echem w środowiskach literatów za sprawą Ody do turpistów.

Rozpoczyna się okres powojenny. Tadeusz jest złotym dzieckiem poezji, jego debiut wywołuje falę pochlebnych recenzji. To jeden z nielicznych momentów w historii, kiedy odbiór Różewiczowskiej twórczości w Polsce jest tak pochlebnie komentowany. Krytycy przyjmują wiersze jako odkrycie poetyckie. Miłosz pisze odc Do Tadeusza Różewicza, debiutowi patronuje Julian Przyboś.

Różewiczowskie wyklęcie z poezji rozpoczyna się od artykułu Wizja przeciw równaniu Kwiatkowskiego. To tylko początek, bo niepochlebne recenzje zaczną pojawiać się coraz częściej. W późniejszych latach krytyka dosięgnie granic absurdu — podczas gdy poetę doceniają za granicą, Polsce wciąż będzie niezrozumianym poetyckim outsiderem.



Mirona Białoszewskiego promuje dodatkowo Sandauer. Pozostawia on wolność swojemu wychowankowi w kwestiach teatralnych — Teatr na Tarczyńskiej jest projektem, który popiera. Coraz mniej podobają mu się jednak przemiany poetyckiego języka, które zaczynają być widoczne w kolejnym tomiku Białoszewskiego. Jak pisze Piotr Sobolczyk: „Uczeń przestał słuchać Mistrza — tak to wyglądało z perspektywy krytyka — i źle na tym wyszedł”. Być może Sandauer przestał wyrażać się pochlebnie o literackich próbach swojego protegowanego. Spowodowało to ataki na jego poezję przez literackich krytyków, którzy zasłyszawszy opinię protektora, postanowili jej użyć.

Apogeuem przypada na rok 1962. W „Przeglądzie Kulturalnym” ukazuje się *Oda do turpistów* Juliana Przybosia. Rozpoczyna to stopniowy proces stygmatyzacji Różewicza jako poety bezwiednie powielającego schematy zaczerpnięte od Baudelaire’a epatującego brutalnością, zwracającego uwagę wątkami związanymi z nekrofilią, zaburzającego estetyczne pojęcia. Oda rozpoczyna dyskusję, którą dawny uczeń stara się prowadzić na kulturalnym poziomie, co — trzeba odnotować z przykrością — nie spotyka się z tym samym odzewem. Przyboś zapatrzony jest w swoje idee i nie chce przyjąć innych pomysłów.

O co tak naprawdę chodzi? Czytanie Ody do turpistów przywodzi na myśl oczywiste skojarzenie *Ody do młodości* Mickiewicza. Warto zauważyć, że sięganie po ten klasyczny utwór wzmacnia tylko przekaz i umacnia pozycję Przybosia jako tego, który ma prawo do pouczenia młodszych twórców. Mistrz nie może pogodzić się z tym, że awangardowa poetyka w jego wykonaniu nie jest jedyną słuszną. Nowe poszukiwania swoich protegowanych nie są przez niego akceptowane. Reistyczne i oszczędne w formie wiersze Różewicza to coś zupełnie odmiennego od postulowanej spiętrzonej metafory i przekazywania w poetyckiej formie wielu znaczeń. To nie obrazy są emocjonalnym nośnikiem, ale poszarpana forma wiersza, którą Wyka określa jako klocki, a Drewnowski jako kuby. Młody poeta tworzy wiersze odwołujące się nie tylko do stanów



emocjonalnych, ale też do plastycznych przemian w świecie historii sztuki. Nie pierwszy to i nie ostatni raz, kiedy treść i forma utworu wypływa z inspiracji sztuką współczesną.

Różewicz jest jednak wierny swojemu Mistrzowi. Po bezpośrednim odwołaniu się do szczura w Odzie do turpistów próbuje jakoś załagodzić sytuację i usuwa zwierzę ze swojego wiersza. Nie zamierza jednak pisać inaczej. W tym miejscu wróćmy na chwilę do 1957 roku, kiedy zostają wydane jego Poezje zebrane, Dłuska wprowadza termin „IV system wersyfikacyjny”, a Przyboś określa ten typ wiersza jako „poawangardowy”. Krytycy zastanawiają się, czy to już wszystko, co Różewicz miał do powiedzenia. Po paru latach okazuje się, że nie. Poeta cały czas doskonali swój warsztat, a literatom rządzącym w Polsce nie jest to w smak.

*Nie wytknęliście głowy z kubła u Becketta:
biedni! Nawet na własną śmietniczkę Was nie stać...
Nie, nie żal mi Was!
Wasz Pegaz-Szczur sparszywił!*

*Zmykajcie! Zarządzam niniejszym
deratyzację Waszych wierszy.*

Oda do turpistów była bardzo niesprawiedliwą oceną. Oskarżanie młodych poetów o brak swojej własnej ścieżki rozwoju poetyckiego, a już zwłaszcza ustawianie się w pozycji, która pozwala autorowi powiedzieć: „Zmykajcie! Zarządzam niniejszym deratyzację Waszych wierszy!” — to przecież silny atak. Dużo jest czytelnych odniesień do Różewiczowskich powracających leitmotivów mięsa, kości, krwi, które mają wyrażać okrucieństwo wojny. Jeśli jednak wziąć pod uwagę chęć kondensacji treści, a nie przywoływane bezpodstawnie epatowanie brutalnością, odbiór liryki niedawnego beniaminka



polskiej literatury powojennej powinien wyglądać zupełnie inaczej.

Przyboś atakuje też Grochowiaka. Jego drugi tom wierszy pod tytułem *Menuet z pogrzebachem* został skomentowany jako ten, który „nie wstrząśnie Dziunią z manikury”. Odwrócona estetyka nie jest wystarczającym sposobem na tworzenie prawdziwej poezji. Piękno, zamienione w brzydotę i epatowanie brutalną fizycznością, to według Przybosia jedyne, co można zobaczyć w utworach twórców wierszy godnych deratyzacji.

Żeby dopełnić upokorzenia tych, którzy ośmielili się pisać inaczej, Mistrz używa dodatkowego konceptu. Chce pokonać turpistów ich bronią — skoro piszą o szczurach, niech i oni sami będą szczurami, do których można powiedzieć: „Zmykajcie!” Przywoływana już wcześniej deratyzacja była wisienką na torcie, ostatecznym wyrokiem skazania turpistów na banicję.

Los bywa jednak przewrotny, a Przyboś nie pomyślał o jednym. Racja — młodzi twórcy zoczyli ze ścieżki krakowskiej awangardy. Nie stało się to jednak dlatego, że próbowali oni naśladować wielkich artystów w bezmyślny sposób. Zbudowali własną estetykę, czerpiąc z wpływów literatury im współczesnej. Uczeń przerasta mistrza, a mistrz może tego nie dostrzegać; dzieje się to jednak niezależnie od jego woli. Proponowane rozwiązania zarówno w kwestii formy, jak i treści, były pójściem o krok dalej. Przyboś został w tyle, ciskając gromy z pozycji swojego autorytetu. Być może z przerażenia, być może z bezsilności — bo trudno uwierzyć, że robił to z zawiści.



PAULINA DOBIJA

BYŁONIEBYŁO

TOMIK PEŁEN NIBYWIEJSZY

Kilka godzin temu w moje ręce wpadła niepozorna, czarna książeczka.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że jej autorem jest Krzysztof Daukszewicz, którego znałam dotychczas tylko z satyrycznych komentarzy opisujących Polską rzeczywistość. Z właściwą sobie zachłannością zabrałam się do lektury. Już po kilku pierwszych kęsach odkryłam, jaką głębię kryje w sobie ta na pierwszy rzut oka niepozorna pozycja.

Książka podzielona jest na kilka części. W każdej z nich, z typową dla siebie zwięzłością i figlarnością, autor opisuje to, co zamyka się w jednym, kluczowym słowie — „wstecz”. Wiersze, które powstały z miłości, lęków, tęsknoty za tym co było i już nie wróci... A wszystko to opatrzone baśniowymi obrazami Joanny Milewicz. Co więcej mogę napisać? Chyba tylko tyle, że podczas lektury prawie byłam tam, gdzie autor: w ciepłym, rodzinnym domu na Mazurach, rozkoszowałam się zapachem wędzonej szynki i nasiąkłej deszczem gleby; byłam nawet w pachnącym spalonym olejem *McDonaldsie* w Radomiu. A to chyba coś więcej, niż to, czego można było się spodziewać po tomiku pełnym czegoś, co nawet sam autor boi się nazwać poezją.

„Byłoniebyło” nie jest zbiorem wierszy patetycznych, wzniosłych i rozdzierających serce. Wątpię, czy kiedykolwiek, którykolwiek z „nibywieszy” stanie się hymnem zakochanych, wąpiących i zrozpaczonych; tomik ten nie trafi nigdy do kanonu lektur.

Jestem jednak pewna, że wiele osób uroni kiedyś łezkę, gdy leżąc późną nocą w łóżku, rozpamiętując wzloty i upadki, wspominając utracone na zawsze nadzieje, tęskniąc za na pozór nic nie znaczącymi gestami... sięgnie po tę dojrzewającą przez ponad trzydzieści lat w sercu autora książkę i odnajdzie w niej siebie.



AGATA SZEPE

WYCINANKA ŻYDOWSKA

Wycinaka żydowska jest tradycyjną formą sztuki ludowej. Jest rozpowszechniona wśród Żydów na całym świecie. Największy rozkwit przeżywała w XIX wieku i na początku XX wieku. Łączyła w sobie obraz i pismo, była częścią przekazywanej z pokolenia na pokolenie tradycji. Już w dwudziestoleciu międzywojennym ta tradycyjna sztuka zaczęła zanikać. Nastąpiło wtedy umiarkowane zainteresowanie wycinanką żydowską wśród etnografów, z tamtego okresu pochodzi kilka wzmianek o tej formie sztuki w pismach etnograficznych. W 1927 roku Giza Frankel opublikowała w czasopiśmie etnograficznym „Lud” artykuł w pełni poświęcony wycinance żydowskiej, przedstawiając w sposób systematyczny typy wycinanek, jej charakterystyczne wzory, popularne sentencje, symbolikę i związki ze świętami. II wojna światowa położyła kres wycinance w takiej formie, w jakiej była znana przed wojną, czyli w formie żywego, spontanicznego rzemiosła ludowego.

Do naszych czasów przetrwało najwyżej kilkaset egzemplarzy przedwojennej wycinanki. Większość w prywatnej kolekcji Gیزی Frankel, która zabrała je ze sobą, emigrując w latach 50-tych do Izraela. Tam kontynuowała badania nad wycinanką w Muzeum Etnologii i Folkloru w Hajfie, stając się jej główną popularyzatorką. Opublikowała m.in. album „תיממע תידוהי תומא – רייני תורוגמ” [„Wycinanka – ludowa sztuka żydowska”] z ponad 150 reprodukcjami wycinanek.

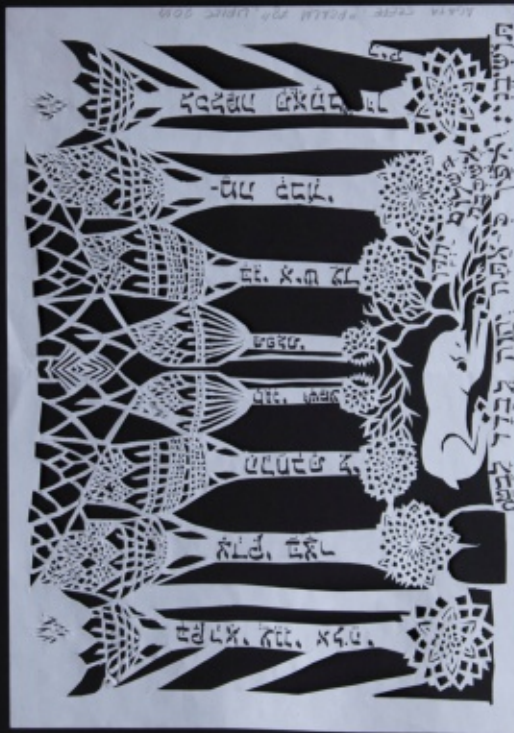
We współczesnym Izraelu możemy mówić o około dziesięciu artystach, którzy zajmują się profesjonalnie wycinankarstwem. W Izraelu i w społecznościach żydowskich w Stanach Zjednoczonych,



popularne są warsztaty wycinanki dla dzieci i dorosłych, będące formą kultywowania tradycji. Co ciekawe, trzecim ważnym ośrodkiem stała się Polska, głównie za sprawą Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie, gdzie co roku wycinanka żydowska znajduje swoje miejsce w ofercie festiwalu. Również w Polsce działają artyści, którzy zajmują się profesjonalnie lub amatorsko wycinanką żydowską. Po wielu latach, wycinanka żydowska powraca, choć w zmienionej formie i w innym kontekście, do Polski, kraju w którym kwitła przed wojną jako żywa sztuka ludowa obok powszechniej dzisiaj znanych wycinanek łowickich czy kurpiowskich.

Fot. Sebastian Czarnecki



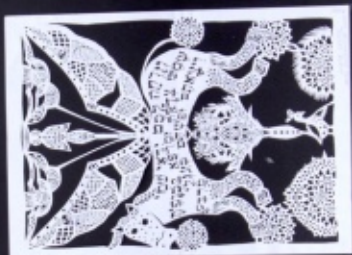






AGATA SZEPE 'MORACZ, LAMPY'

LUBIEC 2004



KAJA JAŁOZA

ODCIENIE





KAJA JAŁOZA

ODCIENIE





PETER WINDSONG

KONTRASTY





PETER WINDSONG

KONTRASTY

KONTRASTY

PETER WINDSONG



KONTRASTY

PETER WINDSONG



PETER WINDSONG

KONTRASTY



NATALIA MARCZAK

OD MROKU DO MROKU



NATALIA MARCZAK

OD MROKU DO MROKU





NATALIA MARCZAK

OD MROKU DO MROKU



NOWY ZARZĄD SAMORZĄDU STUDENTÓW UW WYBRANY!

26 listopada 2014 roku został wybrany nowy Zarząd Samorządu Studentów UW, na czele którego stanęła Maja Matuszewska w roli przewodniczącej. Podczas prezentacji wyborczej na pierwszym posiedzeniu Parlamentu Studentów UW zaznaczyła, że Zarząd ma tworzyć ściśle współpracującą ze sobą całość. Na czele Komisji Finansowej stanęła Anna Cieślakowska, która już następnego dnia po wyborach otrzymywała dziesiątki telefonów z pytaniami o dofinansowania i sprawozdania. Na przewodniczącą Komisji ds. Socjalnych wybrano Justynę Zarudzką, która obiecała m.in. zainteresować się sprawą dostosowania budynków Uniwersytetu Warszawskiego do potrzeb osób niepełnosprawnych. Z kolei Komisję ds. Dydaktycznych poprowadzi Walery Stasiak, który będzie się starał ulepszać jakość studiowania, co leży w interesie każdego z nas. Samorząd Studentów UW znany jest z organizowania wielu projektów, takich jak jUWenalia, UW Cup i tym podobne. Komisją ds. Koordynacji Projektów zajmie się Julia Sobolewska. Mateusz Dąbrowski, który otrzymał możliwość tworzenia Komisji ds. Mobilności, wyznaczył sobie za jeden z priorytetów przywrócenia do sprawnej działalności Studenckiego Biura Tłumaczeń. Słynną Komisją UW HERE, zajmującą się ułatwianiem życia studentom, poprzez kontakty z partnerami oferującymi zniżki na produkty różnej natury, przewodniczy Jakub Alama. Z kolei Piotr Włodarczyk jest przewodniczącym Komisji ds. Współpracy Zewnętrznej. Celem jego komisji jest stworzenie platformy współpracy z partnerami zewnętrznymi, która przyczyni się między innymi do uatrakcyjnienia obchodów 200-lecia UW. Mieszko Czerniawski wraz ze swoją Komisją ds. Współpracy Samorządowej planuje usprawnić i rozwinąć komunikację Zarządu głównego z Zarządami jednostkowymi.



Jakże skomplikowaną stroną prawną pracy w Samorządzie Studentów zajmie się Max Rybczyński, jako szef Komisji Prawnej. Komisja ds. Informacji i PR z Zuzanną Kamińską na czele postara się wspierać w kwestiach promocji bieżącą działalność wszystkich Komisji oraz Samorządów jednostkowych oraz dostarczać studentom wielu, potencjalnie interesujących ich informacji. Komisja ta zawiąże w najbliższych dniach ścisłą współpracę z telewizją Uniwerek.TV, której dyrektorem został doświadczony już Łukasz Noszczak

Odbyła się już rekrutacja do samorządowych Komisji, w związku z czym zaczęły one prężnie działać. W razie, gdyby ktoś nie zdążył, nie zauważył lub po prostu zapomniał pojawić się na spotkaniu rekrutacyjnym, mamy dobrą wiadomość. Otóż w styczniu Samorząd planuje przeprowadzić kolejny nabór, więc wszyscy zainteresowani tego typu pracą społeczną powinni mieć oczy i uszy otwarte.

CZYM AKTUALNIE ZAJMUJE SIĘ SAMORZĄD?:

WIGILIJNA AUKCJA NA UW

17 grudnia 2014 roku odbyła się kolejna edycja Wigilijnej Aukcji na Uniwersytecie Warszawskim skierowana do wszystkich studentów, absolwentów i pracowników.

AMBASADOROWIE UW

Po świętach rozpocznie się rekrutacja do programu Ambasadorowie UW, promującego studia na Uniwersytecie Warszawskim. Studenci prowadzą prezentację w swoim liceum, przygotowani wcześniej dzięki szkoleniom i wyposażeni w materiały promocyjne. Zapisy na akcje będą odbywać się przez stronę samorząd.uw.edu.pl, a szkolenie odbędzie się w pierwszy weekend po przerwie świątecznej.



